№ 33. Warszawa, 12 sierpnia 1922. Cena 100 mk. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

WOBEC WYBORÓW.

I.

„Robić wybory": ten energiczny, fachowy termin ukuty został nienapróżno! Dzwoni w nim twardy odgłos kroków nieubłaganej rzeczywistości.

„Robić wybory" — to brzmi niemal tak samo, jak „robić wyprawę po Złote Runo". Czuje się w tych dwu wyrazach zdobywczość przedsięwzięcia; słyszy się w nich rozkaz dowódców; dźwięczy w nich gorączkowe tempo przygotowań w kwaterach głównych; bije z nich ogrom nakładów pieniężnych, pośpiech dobijanych targów, zawieranych lub odtrącanych przymierzy, ciężki, chrapliwy rytm maszyn, gromadzących gazy trujące na przeciwników...

Ze stanowiska tej akcji wyborczej i przedwyborczej patrzeć należy na dzieje minionego, dwumiesięcznego przesilenia rządowego: wówczas zrozumiemy nieustępliwy upór, z jakim prawica i lewica sejmowa broniły się przeciwko dopuszczeniu do władzy, na okres rozstrzygający, swego adwersarza.

Milczącym, niemniej wszakże wymownym po obu stronach pewnikiem było tkwiące w założeniach obu obozów przeświadczenie, że przeciwnik, u steru rządów stanąwszy, całej potęgi wpływu rządowego użyje na „robienie wyborów", aby w sejmie przyszłym bezwzględną dla swej władzy zapewnić sobie podstawę.

Zarówno na prawicy, jak na lewicy, mogli być ludzie, niezmiernemu dający upust sceptycyzmowi w najrozmaitszych kierunkach. Niektórzy, w bezwładzie powszechnego chaosu, poczynali wątpić o przyszłości własnego państwa; inni, być może, powątpiewali wogóle o przyszłości kultury zachodnio-europejskiej. Wszelako, ani na jednem, ani na drugiem skrzydle ugrupowań sejmowych nie było wątpliwości co do tego, że źródło władzy państwowej w rękach przeciwnika stanie się źródłem nadużycia; że narzędzia władzy przekute zostaną na narzędzia ucisku i nacisku wobec obywateli-wyborców; że magistratura sądowa zostanie nagięta, że administracja państwowa zostanie podporządkowana interesom i widokom pewnej grupy partyjnej.

O tę obawę, a raczej o tę nieomylną pewność, przez obie strony żywioną, potknął się przy formowaniu rządu kandydat lewicy; o tę samą przeszkodę potknął się i padł następnie kandydat prawicy: ze zrównoważenia się sił po obu stronach przeciwnych wynikł wreszcie kompromisowy gabinet obecny w osobie d-ra Nowaka.

Mniejsza o to, tymczasem, jak dalece te osądy podmiotowe odpowiadają treści przedmiotowej: miejmy nadzieję, że stronnictwa szczerze demokratycznee sądzą przeciwnika tak surowo dlatego, że znają go doskonale; ulegają zaś tak ujemnej ocenie strony przeciwnej dlatego, że ta ostatnia, instynktownie, metody, nastawienia i nałogi własne przenosi na swych współzawodników w walce wyborczej.

Chodzi mi tutaj o co innego. Chodzi mi o to, że w tym rozgwarze walki i zapalczywości, w tej zawierusze krzyżujących się prądów, ataków i kontrataków, zaginęło coś, zapodziało się bez śladu i znikło z powierzchni życia coś, co z wysokości ław sejmowych wydawać się może drobnostką, niemniej przecież jest „drobostką", na której wspiera się cały gmach ustroju parlamentarnego: jaźń obywatela-wyborcy!

Istotnie: gdzież jest wola, świadomość i samowiedza polityczna obywatela-wyborcy? Gdzież jest pole, gdzie są szranki dla przejawu tej woli, dla uwydatnienia się tej świadomości? Gdzie jest szacunek dla tej najwyższej w państwie instancji, jaką jest opinja i sąd ogółu obywateli? Gdzież jest chociażby chęć liczenia się z jego myślą, z jego nastrojem, z jego wrażliwością i tęsknotą?

Pytania tego nikt sobie nie stawia. Sztaby generalne stronnictw i naczelne grup politycznych dowództwa znajdują wprost dziką jakgdyby rozkosz w gwałceniu nawet pozorów samoistności politycznej obywatela-wyborcy.

Do elegancji każdego wytwornego parla-

mentarzysty należy dzisiaj ujmowanie rzeszy wyborczej w takich samych kategorjach, w jakich ujmuje się stało owiec; nie pyta on, co myśli ta lub tamta owca; niepokoi się jedynie o to, w czyich spocznie rękach bicz, pędzący stado do urn wyborczych.

Bezwzględność wojny współczesnej, biorąc poza nawias zasługę i heroizm jednostek, stłoczyła masę walczących żołnierzy w jedną straszną, krwawą, nieludzką zmorę, zwaną „mięsem armatniem".

Maluczko, a bezwzględność tego „dalszego ciągu wojny", jakim jest wszelka polityka, stawi nas przed obliczem niemniej potwornej, jak zmora ciężkiej rzeczywistości, której na imię: „towar wyborczy".

Tym towarem wyborczym, Szanowny Czytelniku, ma być, w oczach wytrawnych parlamentarzystów, każdy obywatel; masz być nim Ty i ja...

Wprawni gracze mają niebawem zasiąść do gry; doświadczeni mistrze mają niebawem rozpocząć „robotę". W tej grze będą stawką wasze losy najbliższe; w tej robocie my ulec mamy „obrobieniu": czyliż nie nadszedł czas najwyższy, aby wejrzeć zbliska w istotę tej gry, w mechanizm tej roboty?

II.

Konstytucja z d. 17 Marca, idąc za wzorem kart konstytucyjnych całego zachodu Europy, źródłem wszelkiej władzy publicznej w państwie czyni ogół pełnoprawnych obywateli: „władza zwierzchnia — głosi nasza ustawa zasadnicza — w Rzeczypospolitej Polskiej należy do narodu". To zwierzchnictwo narodu urzeczywistnia się w drodze wyborów do sejmu i senatu, które są organami jego w zakresie ustawodawstwa, a zarazem źródłem wszelkich innych w Rzeczypospolitej organów władzy.

Ta formuła zasadnicza, zdawałoby się, dostatecznie obwarowywa samoistność i udzielność zwierzchniczą obywatela: niestety praktyka życia parlamentarnego, zebrana nietylko na arenie naszych doświadczeń czteroletniego bytu państwa polskiego, ale i na arenie całych stu lat uprzednich rozwoju konstytucjonalizmu w Europie, poucza, że zawarowane w konstytucji prawa narodu a rzeczywisty narodu wpływ w państwie są to dwie rzeczy najzupełniej różne. Powszechność prawa wyborczego nie stanowi bynajmniej o potędze i samodzielności władzy wyborców.

Jest to znamieniem rozwoju wszystkich bodaj demokracyj świata, że twórcy ustaw najbardziej ludowych, najbardziej duchem ludowładztwa przesyconych nie potrafili przeczuć istotnego w praktyce życia działania swoich konstytucyj: da się to powiedzieć zarówno o twórcach konstytucji republikańskiej w zamierzchłych dziejach antycznego Rzymu, jak o konstytuancie francuskiej na schyłku pozaprzeszłego stulecia, jak wreszcie o konstytuancie polskiej w dobie obecnej i uchwalonej przez nią ustawie marcowej.

Uświęcone w nich formy ustroju politycznego są nietylko wytworem organicznym życia; w równym niemal stopniu zawdzięczają one byt swój abstrakcyjnym wyobrażeniom o prawie i sprawiedliwości, o równowadze państwowej i społecznej klas i stanów: stąd między duchem ustaw a praktyką w rzeczywistości stosowanych metod i środków powstaje nieunikniony, nie dający się wyrównać przedział.

Któż z nas kornie nie uchyli czoła przed podniosłością nastrojów, przed górnością zamierzeń i wiar, jakie przewodniczyły narodzinom ducha parlamentarnego u schyłku XVIII i w zaraniu XIX wieku? Historja mało w rocznikach swoich zapisała chwil tak szlachetnych, jak sesja nocna Izby francuskiej w dniu 4 sierpnia roku 1789 lub pamiętne w dziejach entuzjazmu demokratycznego posiedzenia Izby niemieckiej we frankfurckiej „Paulskirche" w roku „wiosny ludów".

Wszelako omyliłby się ten, ktoby hasłom i wiarom, w najszczerszej nawet intencji śród owych zgromadzeń wypowiadanym, bezwzględnie zaufał. Nie zdążyły bowiem jeszcze opaść tęcze i piany entuzjazmu ludowego, upojonego wiarą we wszechzbawczość ideałów demokratycznych, gdy obok tychże ideałów ujawniła się i do głosu przyszła inna strona ustroju demokratycznego, niedwuznacznie a władczo do zrozumienia dając, że aby z pełni praw konstytucyjnych korzystać, trzeba, przedewszystkiem, mieć pieniądze.

Ażeby prawo wyborcze, choćby w przybliżeniu, dawało te wyniki praktyczne, o jakich śnili idealiści i teoretycy parlamentaryzmu, aby wyniki te ujrzeć, trzebaby przypuścić, że na arenie życia publicznego nie istnieją żadne zorganizowane ugrupowania, że nie operują na niej żadne zorganizowane dowództwa i ośrodki wpływów, wywierające na rzeszę wyborców określone, konsekwentne działanie w swoim własnym interesie, działanie ustosunkowane w swem napięciu do siły pieniężnej, jaką ośrodek dany rozporządza.

Z chwilą, gdy takie ośrodki zorganizowane powstają, wybory do ciał prawodawczych mają jedynie znaczenie jakgdyby stopni stawianych w cenzurze przez wyborcę poszczególnym organizacjom politycznym, na których ukształtowanie i kierunek ogół wyborców nie ma najmniejszego wpływu.

Ta rzeczywistość tak dalece już wessała się w krew i ciało stronnictw politycznych, że dziedzina przekonań w zupełności odseparowana w nich bywa od dziedziny faktów, a kasa partyjna prosperuje całkiem niezależnie od ideału partji: co więcej, ideał, czy program nawet, stał się jedynie pewnego rodzaju szyldem, osławiającym mniej lub więcej imponującą zawartość kasy.

Ktoby chciał się o tym stosunku naocznie przekonać, niechaj spojrzy choćby w dzieje tak typowo zorganizowanej grupy, jak Narodowa Demokracja. Jakiż istnieje związek między doborem personalnym jej sztabu generalnego a ogółem rzeszy wyborczej? Czyż wyborcy owi mają jakikolwiek wpływ na układ przewodnictwa, na dobór generalicji tego stronnictwa? Od szeregu lat, od czasu dawnej „Dumy" carskiej, organizacja narodowo-demokratyczna, jak zresztą każda rozwinięta organizacja

partyjna, odnawia się i uzupełnia sama przez się, odnawia się i uzupełnia sama w sobie. Nic tu zasada najbardziej ludowładczo pomyślanej ordynacji nie pomoże: bądźmy pewni, że do przyszłego sejmu „naród" powoła tych samych sztabowców endeckich, których mieliśmy przyjemność już widzieć we wszystkich „Dumach" carskich, „Reichstagach" berlińskich i „Reichsratach" wiedeńskich. Na wybór tych ludzi do sejmu w najmniejszym stopniu wpłynie przeświadczenie ludności wyborczej o zbawiennej sile ich programu i ich taktyki; o zwycięstwie rozstrzygnie nie „ideał" partji, ale „kasa" partji, oraz z kasy tej utrzymywana, przez kasę tę popierana prasa: wyborca będzie zmuszony głosowaniem swojem zatwierdzić tę listę posłów, jaką mu poda jego ulubiony dziennik endecki. Pieniądz bowiem, w działaniu swem na wyborcę, obleka się w postać prasy, która w tej dziedzinie stosunków, istotnie, jakby rolę swą uzgadniając z nazwą, staje się narzędziem „ciśnienia", staje się „prasą", ugniatającą i kształtującą wyborcę.

Że organizacja, posługująca się prasą, poczytuje istotnie czytelników czasopisma za rodzaj klienteli, a nawet czeladzi, stanowiącej poniekąd jej własność poityczną lub partyjną, świadczą częste wypadki sprzedaży pisma, przyczem w cenie kupna uwzględnia się wartość nabywanego „towaru wyborczego" w osobie czytelników. Tak np. swego czasu pan Wojciech Korfanty sprzedał na Górnym Śląsku pismo swoje uprzedniemu swemu przeciwnikowi — Napieralskiemu, od którego tem wyższą uzyskał właśnie cenę, im zapalczywiej był go przed tem zwalczał.

— A czyż czytelnik nie może porzucić takiego czasopisma i wybrać inne?

Oczywiście, że może. Z chwilą wszakże, gdy je wybierze i uzna za swoje, podpada działaniu nowej suggestji; a wraz z nową suggestją przychodzi nowa postać umysłowej niewoli.

Każdy z codziennych pożeraczy codziennej bibułw dzienniktrskiej, uczuwszy, że ma obrożę na szyi, może tę obrożę każdej chwili zmienić na inną: ale też w zmianie tej wyczerpuje się już i do dna cała treść jego wolności!

„Co jest Prawda?" — na to pytanie, na które namiestnik rzymski w Judei nie umiał znaleźć odpowiedzi, każdy obywatel dzisiejszy ma odpowiedź gotową:

— Prawda — odpowie on — jest to, co czytam codziennie w swej gazecie.

Istotnie: dla szerokiego ogółu obywateli, dla tej rzeszy, która udział weźmie w wyborach, i która o wyniku tych wyborów rozstrzygnie, prawda — jest to produkt prasy codziennej; żadnej innej poza tem treści, żadnego poza tem znaczenia zgoła nie posiada. To, czego życzy sobie prasa, to jest prawdą. Jej władcy, jej rozkazodawcy produkują, przekształcają, urabiają prawdy. Trzy tygodnie roboty prasowej wystarcza nieraz na to, aby świat uznał nową prawdę.

Atoli któż jest rozkazodawcą prasy? Pieniądz. Prasa codzienna należy do tych, którzy mają pieniądze. To też argumenty prasy póty zostają nieodparte, póki istnieje gotówka niezbędna po temu, iżby je codzień powtarzać. Do istoty działania prasy należy to, że musi ona trwać nieustannie. Prasa musi stale trzymać umysły pod atmosferą swego ucisku. Twierdzenia jej mogą być natychmiast obalone, skoro po stronie twierdzeń przeciwnych stanie większa suma pieniędzy: w takim razie, igła magnesowa opinji publicznej niezwłocznie zwróci się ku owemu mocniejszemu biegunowi gotówki. Każdy z nieprzeliczonych czytelników gazety nabiera natychmiast nowego na rzeczy poglądu. Nową zyskuje orjentację. Jest przeświadczony, że z ciężkiego ocknął się błędu!...

Cóż przeto dziwnego, że organizacje polityczne w dążeniu do władzy zabiegają nie tyle o zjednanie przekonań i sympatji śród obywateli, ile o fundusz wyborczy: wiedzą one, że opinja powszechna wypowie się na rzecz tego stronnictwa, tej grupy interesów, która najlepiej zdoła zorganizować dzieło suggestji zbiorowej za pomocą prasy i agitacji; niema potrzeby czuwać nad przekonaniem wyborcy z chwilą, gdy położyło się rękę na źródle jego informacyj.

— Jakto—gotów zawołać czytelnik:—więc niema ucieczki przed niewolą tej zbiorowej suggestji? I nazawsze stracone jest pole dla osobistej inicjatywy i dla swobody indywidualnego myślenia?! I wybory do sejmu będą zawsze tylko pustą ceremonją?

— Nie — odpowiem na to: — położenie nie jest tak beznadziejne. Te niespokojne i niepokojące pytania są właśnie punktem wyjścia dla drogi wyzwolenia. Niewola, choćby najtwardsza, przestaje być straszna dla człowieka z chwilą, gdy poczyna on uświadamiać sobie jej ciężar. Dlatego to pierwszy błysk tego uświadomienia, rodzącego niepokój, staje się pierwszym krokiem do odzyskania wolności.

I dlatego to obowiązkiem wszystkich umysłów, wolność miłujących i znających wagę jej siły twórczej w życiu, będzie właśnie uświadomieniu temu służyć, do pogłębienia tej świadomości jak najmocniej się przyczyniać.

W. Rzymowski.

O WALCE PARTYJNEJ.

Zakłócająca życie państwowe, walka nieprzejednanych stronnictw politycznych, na którą dziś tak użalamy się w Polsce, dawno już i w innych krajach zrażała subtelniejsze umysły i jeszcze *Swift* w „Podróżach Gulliwera" zalecał następujący radykalny środek przeciwko waśniom partyjnym:

„Wziąć stu menerów z każdej partji politycznej, ustawić ich parami w szeregu, dobierając wedle głów jednakowej wielkości tak, żeby każdą parę tworzyły głowy należące do różnych partyj, ale posiadające jeden i ten sam wymiar. Następnie kazać zręcznemu chirugowi rozpiłować jednocześnie dwie czaski z każdej pary w ten sposób, aby mózg został przepołowiony, otrzymane tą drogą kawałki zamienić tak, żeby połowę czaszki jednego osobnika przystosować do czaszki drugiego. Operacja trudna, ale jeżeli jest zręcznie wykonaną, uzdrowienie niezawodne. Albowiem połówki mózgów zmuszone walczyć o sporną kwestję w jednej i tej samej czaszce, musiałyby dojść

do porozumienia i w ten sposób wytworzyłyby się umiar i równowaga, tak pożądane w głowach ludzi, którzy uważają siebie za powołanych kierować sprawami swiata".

Nie wątpię, że każdy, kto czytał „Podróże Gulliwera" w czasie ostatniego przesilenia naszego, pomyślał w duszy, że wyżej wymieniony srodek byłby dobrym i na naszych suwerenów i że dobrze by było połączywszy mózgi ks. Lutosławskiego i tow. Daszyńskiego, prof. Dubanowicza i Stapińskiego, wytworzyć porozumienie, do którego inną drogą Sejm dojść nie może...

Ale po bliższem rozważaniu tej sprawy musielibyśmy się wyrzec tego środka i to nie tylko dlatego, że jest niezgodny z konstytucją, ponieważ gwałci zasadę nietykalności posła, ale, że jako zbyt radykalny prowadzi zadaleko. Gdyby bowiem zgoda, pożądana i w Sejmie i poza Sejmem, stała się jednomyślnością i znikłyby różnice zasadnicze dzielące obozy polityczne, nie byłoby to wcale rezultatem pożądanym dla życia politycznego. O tem dziś zapominamy, zgorszeni ekscesami walk partyjnych. Dają się słyszeć u nas głosy przeciwko podziałowi społeczeństwa na stronnictwa polityczne: po co te partje, — powiadają, — czy nie mogła by powstać jedna, partja, obejmująca wszystkich ludzi dobrej woli, mających na celu dobro państwa?

Jest w tem niezrozumienie istoty życia politycznego w państwie parlamentarnem, które dla swego rozwoju normalnego wymaga walki stronnictw. I słusznie też, prezydent ministrów d-r Nowak w swojem krótkiem a zwięzłem, nacechowanem umiarkowaniem i objektywizmem exposé podniósł znaczenie stronnictw politycznych:

„Naród czy państwo, któreby miało jedno tylko stronnictwo polityczne bardzo rychło stanęło w marażmie, istnienie różnych kierunków politycznych jest niewątpliwie jednym z objawów życia i jedną z koniecznosci państwowych".

Nie to jest pożądanem dla normalnego rozwoju życia, aby wszyscy jednakowo myśleli, lecz to, aby każdy szanował ludzi inaczej myślących. Tego nie rozumiało społeczeństwo nasze w dawnej Rzeczypospolitej, która od Sejmu wymagała *jednomyślności*, a jednostce przyznawała prawo *liberum veto*. Ten duch *liberum veto* pozostał w naszem społeczeństwie: chcemy wszyscy *jednomyślności* i nikt nie chce przyznać innemu ***prawa myśleć inaczej*** i ustąpić, jeżeli większość myśli inaczej. I dziś jeszcze nieprzestarzałą dla nas jest ta świetna krytyka zasady jednomyślności, którą daje Konarski w traktacie „O skutecznym rad sposobie".

„Gdyby ludzie, ile w znaczniejszej zgromadzeni liczbie w każdym, ile wielkim interesie zawsze rozumieli jedno, zawsze zgodzili sią na jedno wszyscy i żaden nigdy przy konkluzji rady inszego sentymentu nie miał, tylko ten zawsze, który w inszych widzi, toby ludzie być ludźmi przestali. Taka bowiem jednomyślność i zgoda jest cale nad ludzką naturą i nad przyrodzenie rzeczy, o których ludzie między sobą traktują".

„Bog sam nawet, — mówi Konarski, — mocą swoją ordynaryjną, która światem rządzi, tego uczynić nie może, aby wszyscy ludzie zawsze byli zdania jednego i jednej woli; bo ponieważ każdemu dał wolność, toć wolne oraz każdemu dał zdanie; musiałby więc wprzód znieść ludziom wrodzoną ich własność, niżby ich do jednostajnego zawsze, bez nadwrodzonego cuda przyprowadził chcenia. Może to, ale cudem wszechmocności swojej, nie, jakom rzekł, ordynaryjną mocą. Co więc Bóg sam nie może zrobić ordynaryjną mocą, to my na każdym sejmie ordynaryjnym i sejmiku dokazać Polacy chcemy".

A jeżeli jednomyślności być nie może, to trzeba umieć ustępować i poddawać się woli większości, ustępować wówczas, gdy się ma słuszność wedle własnego mniemania, poddawać się woli większości, która błądzi naszem zdaniem. Innego wyjścia nie ma, jak ta demokratyczna zasada większości. Mniejszość musi ustąpić większości nie dla tego, aby racja zawsze była po stronie większości (można dowodzić, że większość jest głupich i że ludzie światli wszędzie stanowią mniejszość), ale dla tego, że, jak słusznie pisał Ludwik Kulczycki w „Tygodniu Polskim", nie ma innej objektywnej zasady dla stanowienia, kto powinien ustąpić: większość bowiem w każdym dawnym wypadku jest jedna tylko, mniejszości zaś może być kilka i gdybyśmy przyjęli za zasadę, że decyduje głos mniejszości, to trzeba było by określić, jaka mniejszość i bylibyśmy często w sytuacji bez wyjścia. Zasada większości pomimo całej swej niedoskonałości powinna być świętą i nietykalną w życiu politycznem, jej pogwałcenie bowiem otwiera drogę albo anarchji albo rządom jednostki.

Zasady większości w teorji u nas nikt prawie nie neguje, ale w praktyce stosuje ją niechętnie zarówno prawica, jak i lewica. Nie nauczyliśmy się jeszcze wewnętrznie z przekonania szanować tej zasady. Osądzone przez Konstytucję 3-maja *liberum veto* przetrwało jednakże w duszy polskiej stulecie niewoli i odzywa się przy budowie nowego demokratycznego państwa polskiego.

A los rządził, że tę budowę rozpoczeliśmy w chwili kiedy zasada większości stanowiąca podwalinę ustroju demokratycznego ulega na całym świecie napaściom z dwuch przeciwległych krańców: z jednej strony komunizm chce narzucić dyktaturę rewolucyjną mniejszości, z drugiej strony reakcja. wykazując rozmaite braki rządów demokratycznych, twierdzi, że społeczeństwo może być opartem tylko na autorytecie wyższym, niż rozum i wola ludzkie i chce cofnąć ludzkość ku rzadom autokratycznym. To też dziś nie tylko u nas zasada większości nie jest szanowaną i walki partyjne przybierają formy groźne dla ustroju demokratycznego.

Spostrzeżenie, że gdzie indziej bywa gorzej, aniżeli u nas, oczywiście jest słabą pociechą, ale czasem i do niej nie zawadzi się uciec, aby ustrzedz się przed zbytnim a szkodliwym pesymizmem i nie widzieć swoich spraw domowych w zbyt czarnych kolorach. Żalimy się i słusznie na zaciekłość naszych walk partyjnych, ale przecie te walki nie dochodzą u nas, jak we Włoszech do otwartej wojny domowej, i przesileniu naszemu nie towarzyszyły starcia uliczne, które krwią bratnią splamiły miasta Italji.

I po zakończeniu przesilenia nasz nowy prezydent ministrów nie był zmuszonym upominać swoich rodaków tak, jak upominał Włochów prezydent Facta: „Niech żaden Włoch nie myśli, iż zabi-

jając innego Włocha, przyczynia się do zbawienia ojczyzny".

Polak, chcąc się „przyczynić do zbawienia ojczyzny" nieraz zohydza i w oczach rodaka i w oczach świata całego, pozbawia czci i wiary uczciwego i zasłużonego Polaka ale... nie zabija, jak to czynią nie tylko Włosi, obdarzeni gorącym temperamentem, ale i rozważni, umiarkowani Niemcy północni.

Więc nie najgorzej jeszcze jest u nas i zaciekłość naszych walk partyjnych nie jest już tak beznadziejną. Możemy i powinniśmy mieć nadzieję, że ucząc się demokratyzmu w samym procesie budowania państwa demokratycznego zwalczymy pokutującego w nas anarchicznego ducha *liberum veto*. Dla skutecznej zaś walki ze złem należy uświadomić sobie źródła jego. Otóż źródłem zła, o którem mówimy, są, jak to często bywa w życiu społecznem, nie najgorsze instynkta ludzkie, ale raczej dobre popędy tylko źle skierowane. Najwięcej zaciekłym w walce partyjnej, najwięcej nieprzejednanym wobec woli większości, i największem wcieleniem ducha *liberum veto* największą przeszkodą na drodze ku zgodzie i jedności narodowej nie ten nieraz bywa, kto dla własnego interesu dobro kraju składa w ofierze, ale ten, kto przeświadczonym jest że *tylko on* dobrze życzy ojczyźnie, a inni są obojętni, i *tylko on* ją zbawić może, a inni tylko jej szkodzą, że *on jeden* prawdę widzi a wszyscy inni mylą się. Rozumiał to dobrze wielki Konarski, kiedy zwalczając ducha *liberum veto*, pisał te oto słowa, które powinien i dziś każdy polityk pamiętać:

„Nie tyś sam tak wielki kochanek ojczyzny, żebyś ją jeden tylko, a nie wszyscy z tobą równie kochali, nie tyś sam tak przemądry, żeby twoje jedno zdanie być powinno najlepsze a innych za nic". **Leon Kozłowski.**

Z POWODU LEGJONOWEGO ŚWIĘTA.

Jaka szkoda, jaka nieodżałowana szkoda, że święto Legjonowe nie jest tem, czemby być mogło i powinno: ogólnem świętem armji polskiej.

Kiedyś, gdy ucichną „potępieńcze swary", jak klątwa prześladujące nieustannie Legjony Polskie, wlokąc się za niemi trop w trop i zatruwając atmosferę przeczystego zapału, z którego one wzięły początek — późniejsze pokolenia, śledząc bieg wydarzeń wojny światowej w Polsce — stwierdzą objektywnie, że one były tem pierwszem ziarnem, rzuconem na krwawe pole, z którego wyrosło drzewo wolności.

Tę prawdę, którą z czasem wyświetli historja, dzisiaj zakrywa przed oczami współczesnych nietylko kurzawa plotek i oszczerstw, ale w równej mierze ogień bengalski reklamy i mgła legendy.

Fakty przeczą i jednym i drugim, ale żyjemy w momencie, w którym faktów wogóle nie bierze się w rachubę lub co najwyżej wybiera się jedne a odrzuca drugie w ten sposób, by kombinacja prawd ułamkowych złożyła się na całkiem fałszywy obraz rzeczywistości.

A jednak — kiedy mowa o Legjonach — całe piękno leży w prawdzie, w rzeczywistej, autentycznej, niesfałszowanej prawdzie, pomijanej przez tych, co ich wizerunek oczerniają, i tych, co go dowolnie koloryzują.

Tę prawdę warto przypomnieć w ósmą rocznicę Legjonów.

Prawdą jest, że każdy legjonista — z jakiejkolwiek brygady czy pułku — jakiejkolwiek rangi, spiesząc jako ochotnik do szeregów, miał tylko jedno marzenie, jeden cel na widoku: stać się żołnierzem regularnego wojska polskiego w niepodległej Polsce. Dla tego celu każdy gotów był ryzykować życie. Ten sam cel przyświecał Strzelcom, Drużynom Strzeleckim, Stałym Drużynom Sokolim, tym wszystkim organizacjom wojskowym, które się formowały i ćwiczyły przed wojną światową przewidując jej wybuch.

Dla nich wszystkich związki czy drużyny — Legjony wreszcie, to były tylko nieuniknione fazy wstępne, przejściowe, kolejne etapy, przez które bezbronny naród musiał iść dla zdobycia pełnej niezawisłości.

Austrja i jej protekcja, jej magazyny broni i mundurów, stanowiły tylko sprzyjającą okoliczność, którą w interesie Polski skwapliwie wyzyskać należy, boć jasna rzecz, że w danych warunkach nie można przecie było, jak w 63 r., bić się przemycaną ukradkiem bronią, zakupywaną, gdzieś w Belgji. Więc nie żaden lojalizm austrofilski lecz względna nieszkodliwość Austrji kazały w niej szukać oparcia w walce o niepodległość, która i w tym wypadku, jak we wszystkich poprzednich, musiała się w pierwszym rzędzie zwrócić przeciw Rosji. Musiała zaś dlatego, że bez porażki Rosji o niepodległość Polski nie mogło być wręcz mowy — co wszystkie późniejsze wypadki potwierdziły w zupełności, boć nawet najżyczliwsze nam narody Zachodu: Francja czy Ameryka, aż do zupełnego wycofania armji rosyjskiej z granic Polski i upadku caratu — ani słowem o wskrzeszeniu niepodległej Polski nie wspomniały.

Cała orjentacja polityczna Legjonów w tem się zamykała; przez uzbrojenie narodu do niepodległości. Historja nie zna innej drogi wyzwolenia, jak przez ofiarę krwi i życia; na tę drogę weszły Legjony.

Nie wiązano z tem żadnych haseł partyjnych czy klasowych.

Były one wręcz niemożliwe, gdyż do Legjonów nawoływano cały naród, a faktycznie wchodzili do nich ludzie wszelkich klas społecznych i wszelkich barw przekonaniowych. Zgłaszali się na ochotnika za kapelanów i kapucyni; czy i oni chcieliby prowadzić walkę przeciw ustrojowi społecznemu? Szła młodzież ziemiańska, szli sodalisi marjańscy, jak organizator drużyn sokolich, dzisiejszy generał Haller. Czyżby i on chciał obalić kapitalizm? Nawet socjaliści z początku rozumieli doskonale, że łączenie haseł partyjnych z walką o niepodległość zwichnęłoby sprawę, to też Piłsudski i Sosnkowski po odejściu do Kielc — zaraz złożyli wizytę biskupowi Łosińskiemu i nawet sam p. Haecker nie dziwił się temu.

Nie jest też bynajmniej prawdą, aby Legjony były formacją robotniczo-włościańską. W Legjonach — jak bywa w każdej podobnej armji ochotniczej — przeważał żywioł inteligencki, młodzież szkolna i uniwersytytecka, oraz niezmiernie wysoki procent artystów, literatów, nauczycieli, inżynierów i t. p. Byli robotnicy i chłopi galicyjscy

w organizacjach wojskowych przedwojennych, ale tych zagarnęła odrazu mobilizacja austrjacka. W Królestwie Polskiem, ani do Legjonów, ani do żadnej armji ochotniczej, nawet już w niepodległej Polsce, chłop iść nie chciał, bo nie uznaje żadnej innej armji, tylko z poborn.

W 1914-ym, 15-ym, czy 16-ym, tak samo jak w 1920 z własnej woli w pierwszej linji szli się bić o Polskę ci, co mieli najżywszą świadomość narodową i narodową kulturę — Klasy wykształcone. Szli także — tak samo jak w 63 roku, wojskowi, Polacy z armji zaborczej. Każdy z nich był tak samo ochotnikiem, jak pierwszy lepszy gimnazista z Tarnowa lub student lwowski. Tak zrobił gen. Zieliński, który z brygadjera austryjackiego został pułkownikiem w Legjonach, i Zagórski, który miał widoki świetnej karjery w sztabie, gdzie jego talent i wiedzę ceniono.

Nie jest bynajmniej prawdą, aby Legjony były Polakom narzucone czy podsunięte przez politykę państw centralnych. — Austrja — jak wiadomo dobrze tym, co się z nią w czasie wojny stykali, nie miała wogóle żadnej określonej polityki; miała tyle kierunków politycznych, ilu ministrów, szefów sekcji, komendantów obwodu nawet. — Chwilami inna prowadziła w Piotrkowie, a inną w Kielcach lub Słomąkach. Tu protegowała Legjony, tam je szykanowała. — Niemcy — na swoim terenie okupacyjnym szykanowali je zawsze. Za werbunek do Legjonów aresztowali i wywozili do obozu jeńców, za kolportowanie pism legjonowych skazyzywali na kary pieniężne.

W układy z Niemcami wchodziła tylko t. zw. Polska Organizacja Narodowa, istniejąca od początku września 1914 r. do początku listopada tegoż roku, a treść tych układów nieznana była nikomu z Legjonistów, utajona ściśle przed Naczelnym Komitetem Narodowym w Krakowie a nawet przed ogółem członków samej P. O. N. Polska O. N. przeciwstawiała się N. K. N-emu jako istytucji nie dość niepodległościowej. — (Moralną odpowiedzialność za tekst umowy ogłoszonej w „Rzeczypospolitej" ponoszą ci tylko, co ją podpisywali).

Wiadomy był natomiast układ N. K. N. o Legjony z Austrją; wiadome było również oczywiście przymierze Austrji z Niemcami, gdy jednak mowa o zależności Austrji od Niemiec, popełnia się zwykle dużo przesady. Przypominam, że w 1910 r. ta zależność nie przeszkodziła jednak urządzeniu obchodu grunwaldzkiego w Krakowie, podczas gdy w zaborze rosyjskim obchody grunwaldzkie były zakazane. — Ścisłe przymierze wojskowe nie usuwało nieustannych -- choć nie ujawnianych głośno zatargów między Austrją a Niemcami, czy to na froncie, czy na terenie okupacyjnym, czy w dziedzinie dyplomacji, gdzie — jak wyszło na jaw — Niemcy w sekrecie przed Austrją próbowały zawierać odrębny pokój z Rosją, a Austrja w sekrecie przed Niemcami z Francją (list ks. Syksusa Parmeńskiego). W dziejach Legjonów niejeden epizod powstał na tle tych zatargów austro-niemieckich.

Nawet wtedy, gdy Niemcy zdecydowały się na ogłoszenie manifestu z 5 listopada i na tworzenie armji polskiej, usiłowały przejść do porządku dziennego nad Legjonami, umieścić je: „auf dem Sterbe-Etat" — a formować armję polską poza niemi, bez udziału Polaków z Galicji. To też niezmiernie łaskawie traktowali wszelkie napaści na Legjony jako na formację narzuconą Polsce, przez Galicjan, każde piętnowanie „austrjakoości". Legjonów, w czem i prawica i lewica wyścigały się w pewnym okresie wojny, to jest od września 1915 r. aż do sierpnia 1917, gdy ostatecznie „galicjanie" jako Korpus Posiłkowy wrócili — skąd przyszli.

A oto mimo tego całego zgiełku, kłótni i swarów kłębiących się wokół Legjonów, o Legjony

---

STANISŁAW KOŹMIAN.

(Rodowód pisarza i partji.)

Są ludzie, w których rysach, twórczości, psychologji, obyczajach i słowach odbija się najlepiej niepochwytne oblicze ducha powszechnego, lub którzy przynajmniej są dokładnymi wyobrazicielami pojęć i skłonności swojej warstwy, lub pokolenia. Nie wynika jeszcze z tego, ażeby oni umysłem lub duchem mieli zawsze górować nad całą epoką, ażeby w nich miały się zestrzelić wszystkie aspiracje idealne lub realne. Ci ludzie bowiem są znów dwojakiego rodzaju: jeżeli posiadają imaginację, natchnienie i wolę w wyższym stopniu, to wskazują jak słup ognisty kierunek pochodu narodowi, udzielają słów rzeczom niewysłowionym, porywają za sobą szlachetniejsze wyobraźnie w sztuce, lub całe masy w polityce; jeżeli zaś posiadają ten rodzaj talentu, inteligencji i djalektyki, który szczególnie odpowiada okresowi historycznemu i właściwościom współczesnym, to wtedy tworzą szkoły literackie i polityczne, stojące na poziomie swego czasu, są lub bywają wybornymi realistami lub oportunistami, zostają niezachwianą powagą w oczach współwyznawców, zwolenników i przyjaciół, wywierają nieprzeparty częstokroć wpływ na kształtowanie się rzeczywistości, uchodzą za mistrzów, przed którymi otoczenie uchyla czoła.

Tym mistrzem, utalentowanym i wykształconym, tym djalektykiem i oportunistą, wywierającym wielki wpływ na współczesnych, zwłaszcza na zachowawcze warstwy polskie nie tylko w Krakowie i w Galicji, był zmarły Stanisław Koźmian.

Urodzony w starej rodzinie ziemiańskiej w Lubelskiem (r. 1836), która przez kilka pokoleń, zwłaszcza za Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego wydawała statystów, kasztelanów, biskupów, uczonych prałatów i znakomitych literatów z epoki klasycyzmu warszawskiego, Koźmian nasiąkał od dzieciństwa tradycjami dobrego dworu polskiego, w którym panowało światło, patrjotyzm, obowiązek, wiara w urzeczywistnienie wielkich aspiracji narodowych. Wyjechawszy w dwudziestym roku życia za granicę, Koźmian ugruntował i uzupełnił swoje wykształcenie polityczne i estetyczne w Niemczech, zwłaszcza zaś w Paryżu, gdzie wtedy w Hotelu Lambert była główna kwatera emigracji polskiej, żył jeszcze stary książę Adam Czartoryski, gdzie obok emigrantów

wdzierających się w obręb Legjonów i usiłujących w nie wciąż wnosić ferment i rozprzężenie, jątrzyć pułk przeciw pułkowi, brygadę przeciw brygadzie, fakty wykazały, jak bardzo prostolinijnym był patrjotyzm legjonistów, jak jednolitym, ogólno-polskim, szczerze narodowym i bezpartyjnym był ten duch, który je ożywiał i wiódł w ogień bitew.

Ponad wszelkie dzielnicowe, partyjne czy orjentacyjne antagonizmy wznosiła się jasna, prosto sformułowana myśl przewodnia: wojsko polskie dla wolnej Polski. — I ci, co zostali w kraju, i ci, których ostatnia katastrofa rozbiła i rozsypała po szerokim świecie, pozostali tej myśli wierni do ostatka. Ona to poprowadziła ich z Hallerem na Ukrainę dla połączenia się z Korpusami polskiemi po tamtej stronie frontu. O nią walczyli z austrjakami pod Rarańczą, z Niemcami pod Kaniowem. Ci i owi zbłądzili do korpusu Dowbora-Muśnickiego, a w tych „polskich korpusach na wschodzie“ spotykali raz po raz przedwojennych strzelców i Drużyniaków, co się na początku wojny na drugą stronę frontu dostać nie mogli, lecz skoro tylko jakieś wojsko polskie formować się zaczęło, poszli, służyć też samej idei, innym karabinem. — A fakty okazały, że kwestji, przeciw komu ten karabin się zwróci, kto będzie najbliższym przeciwnikiem lub przygodnym sprzymierzeńcem, nie rozstrzygała z góry przyjęta orjentacja lecz okoliczności boju Korpns Dowbor-Muśnickiego zbroił się przeciw Niemcom, a cały czas walczył z Rosjanami, gdy równocześnie Korpus Hallera, uzbrojony przeciw Rosji, z Austrjakami i Niemcami walki staczał. I to dowodzi, że ani tu, ani tam nie było innego „filstwa“ — tylko polonofilstwo. To właśnie było normalne i równało tak Legjonistów, jak Dowborczyków z żołnierzami każdego wolnego narodu.

Któż się pyta, czy Anglicy przez „frankofilstwo“ szli się bić we Flandrji? czy Francuzów serbofilstwo do Macedonji zagnało? Legjoniści znaleźli się w Murmanie; Legjonista, Czuma, — dowodził dywizją syberyjską, do której inni znowuż Legjoniści werbowali ochotników aż w Szanghaju. A wkońcu we Francji, przy boku już zdeklarowanej po naszej stronie koalicji, któż jeśli nie Legjonista — Haller — organizował naszą armję polską? Braterstwo broni połączyło Legjonistów ze wszystkiemi bez wyjątku formacjami, które w skład obecnej armji polskiej weszły, więc rolą ich jest stać się kitem łączącym ją w zwartą, jednolitą całość. Na to jednak muszą wsiąknąć w nią tak bez śladu, jak w pierwszym roku wojny Strzelcy i Drużyniacy wsiąknęli w Legjony, zapominając, że w okresie przedwojennym i oni przecie rywalizowali ze sobą i swarzyli się — dziś już niewiadomo o co.

Zjednoczenie Polski i zjednoczenie wojska polskiego w jedno ciało i jedną duszę, być to jest istotne, w głąb życia narodu sięgające obalenie rozbiorów. Klątwą rozbiorów było skazanie Polaków na walki bratobójcze, jak gdyby haniebna kara za owe niegdyś rokosze zbrojne, które pchały Polskę do grobu. Bratobójczemi były odtąd wszystkie nasze walki o niepodległość, zacząwszy od walki z Targowicą, po przez wojny Napoleońskie aż do styczniowego powstania.

Dopiero rok 1918 — przez zlanie wszystkich formacji wojskowych w jedno wojsko polskie położył kres temu przekleństwu, które ciążyło nad narodem, przeto codziennym pacierzem każdego żołnierza polskiego, bal każdego nawet dziecka polskiego winny być słowa: „Od hańby niewoli i walk bratobójczych wybaw nas Panie!“ A kiedy się wskrzesza wspomnienie przeszłości, tych rzewnych chwil, gdy dzisiejsza rzeczywistość była tylko marzeniem i nadzieją, czy warto je zatruwać wskrzeszaniem tych przebrzmiałych już na szczęście sporów i swarów o to, kto więcej wart? Kto lepiej Polsce służy i więcej dla niej czyni?

---

listopadowych z jenerałem Władysławem Zamoyskim na czele, grupowały się młode umysły, mające później zajaśnieć blaskiem i powagą, jak ks. Walerjan Kalinka, Stanisław Tarnowski, Juljan Klaczko.

Te wzory, otoczenie i atmosfera, świetność Francji napoleońskiej, wraz z podniesioną wtedy ideą narodowości, i urok umysłowości francuskiej, wywarły też niezatarte wpływy na Koźmiana, uczyniły z niego statystę i stylistę, estetę i pisarza politycznego. Śród naszych historyków i publicystów nie było też lepszych znawców Francji drugiego cesarstwa i Napoleona III, jak Kalinka i Klaczko, Koźmian i Tarnowski, nie mówiąc oczywiście o tych, którzy się tam urodzili, lub spędzili życie na emigracji.

Z tego punktu widzenia trzytomowa „Rzecz o roku 1863“, jak zarówno dużych rozmiarów książka „O działaniach i dziełach Bismarcka“, pozostaną trwałemi nabytkami naszej literatury politycznej. Można, niejednokrotnie i trzeba zwalczać z całą konsekwencją ideę zasadniczą „Rzeczy“, podnieść atoli jednocześnie tam wypada niepospolitą znajomość polityki francuskiej, napoleońskich mężów stanu i sprężyn akcji europejskiej. Nasza generacja, która spędziła życie zdala od gościńców międzynarodowych, na których toczyła się walka wyobrażeń i interesów, co tak złowieszczemi świeci lukami śród mężów stanu i parlamentarzystów naszej ludowej Rzeczypospolitej, mogłaby znaleźć w tych książkach i w „Pismach politycznych“ Koźmiana pełne biegłości i ścisłości, swobody i perspektywy rozumowanie, osnute zawsze na szerokiem tle historycznem, oraz wielką łatwość w obracaniu pojęciami politycznemi.

Tak więc, polskie tradycje domowe, wychowanie patrjotyczne i wykształcenie, obcowanie na wstępie do życia publicznego z wielkiemi postaciami naszych wygnańców 1831 r., przyswojenie sobie żywotnych i klasycznych pierwiastków logiki łacińskiej i kultury francuskiej, zmysł rzeczywistości i istotna znajomość sytuacji międzynarodowej, pochodząca nietylko ze studjów ale i ze stosunków osobistych, dokładne pojmowanie warunków bytu narodowego, nareszcie pierwszorzędny talent pisarski, połączony z miarą i smakiem, — wszystko to czyniło, w większym jeszcze stopniu czynić mogło z Koźmiana wybitnego polityka, zdolnego do rady i czynu, jak i publicystę w najrozleglejszem znaczeniu wyrazu, który umiał dawać wskazówki mężom stanu. Te wrodzone

O ileż byłoby łatwiej o ducha jedności, gdyby Legjoniści poświęcili swą rocznicę nie na rozpamiętywanie swych zasług, lecz swego wielkiego bezmiernego szczęścia. Boć oni są tem wybranem pokoleniem bojowników niepodległości, które ujrzało wcielenie ideału w rzeczywistość i to w całej pełni, nie na miarę przewidywań, lecz na miarę marzeń swoich.

Chcieli być wojskiem polskiem i są niem. Domagali się wyłącznej, bezpośredniej zależności od własnego, polskiego rządu, bo „tylko rząd wolą narodu całego powołany przez sejm, obrany w powszechnem głosowaniu ludu, ma prawo krwią polską szafować, jak im to wciąż w uszy kładli, z prawej i lewej strony, obrzydzając im zależność od „samozwańczych“ surogatów rządu, takich N. K. N. czy P. O. N. czy O. K. N., co sobie pozwalają rodaków pod broń powoływać.

Dziś nie służą już żadnej partji, ani blokowi stronnictw. Służą Polsce, wolny naród przez swych prawomocnych przedstawicieli wyznacza władzę, która decyduje o wojnie i pokoju, o przymierzach, z obowiązującej rocie przysięgi.

Wszystko, czego chcieli, ziściło się, a wobec tego ogromu szczęścia, czy warto choćby pięć minut poświęcać pytaniom tak błahym, tak nieskończenie małym, lichym, niskim, jak to, na kogo jaki procent zasługi przypada?

Ach! toż wiemy wszyscy, że za bezmiar ofiar, poświęceń i zasług dawniejsze pokolenia bohaterów wypijały do dna truciznę i gorycz klęski, poniżenie i hańbę niewoli, tułactwa, beznadziejnej poniewierki.

Dziś nagroda stokrotnie przewyższa wszelkie rzeczywiste, czy domniemane zasługi, więc troską każdego współczesnego Polaka winno być wypłacenie się za nią pamięci przeszłych i przyszłych pokoleń.

I. Moszczeńska.

W SPRAWIE DEOTYMY.

(Nieco uwag i wspomnień).

I.

W przytoczonym na stronie 26—28 książki p. Wiktora Przecławskiego pod tyt. *Felicjan Medard Faleński*: **Żywot i dzieła** (Poznań, 1922) wyjątku z przekazanego bibliotece wilanowskiej pamiętnika rękopiśmiennego poety, czytamy szereg zgryźliwych uwag nad trybem zebrań towarzyskich ś. p. Deotymy, na których — według słów Faleńskiego — „poetka występowała w charakterze królowej, mającej swój dwór symboliczny i porozdawane godności. Dygnitarze tego osobliwszego dworu nosili odpowiednie godła w dziurce od guzika. Składał się on z samych niedorostków“. W dalszym ciągu owego wyjątku mieści się opis czytań utworów poetki „z wysokości tronu, na którym uroczyście zasiadała“. „Na te uczty — pisał pamiętnikarz — *wiecznie zapraszała Berga* i nareszcie *jedną z takich* raczył obecnością swą zaszczycić. Rzuciło to postrach na całą dzielnicę. Ten Jowisz bowiem zjechał tam jak zwykle w otoczeniu Czerkiesów, policja zaś obsaczyła tymczasem wszystkie wejścia i wyjścia. W innym czasie nawiedziny podobne byłyby raz na zawsze salon wieszczki opróżniły — ale dziś pozbyto się już niejednego przesądu, zresztą i towarzystwo tam bywało stosownie dobrane. Nadskakiwania te — pokazało się wreszcie — nie były bynajmniej bezinteresowne. Jakoż uwieńczone zostały dożywotną pensją 1500 rubli, które wieszczka (....trudno wiedzieć za co) od rządu pobiera“.

Po przytoczeniu powyższego wyjątku z pamiętnika Faleńskiego, autor biografji w odsyłaczu na stronie 28 nadmienił dosłownie, co następuje:

---

i nabyte kwalifikacje uczyniły z Koźmiana postać większych rozmiarów nietylko w Polsce.

Niestety! smutne koleje losów narodowych sprawiły, że nikt lub prawie nikt z utalentowanych Polaków owej epoki nie dosięgnął pełni swego przeznaczenia, każdy został zwichnięty w mniejszym lub większym stopniu, każdy zatracił wiele z cennych darów natury i fortuny.

Tragiczny obrót zdarzeń dziejowych w postaci katastrofy 1863 r. sprawia też przewrót w wyobrażeniach Koźmiana.

Jak się to stało?

Należy on do t. zw. *białych* czyli do zachowawców, którzy nie będąc zwolennikami ruchu zbrojnego, nie umieją jednak, nie usiłują nawet mu przeciwdziałać. Będąc przeciwnikami programu Aleksandra Wielopolskiego i nie ufając Rosji, oczekują oni interwencji Napoleona III na rzecz Polski; gdy więc wybuchło powstanie, udzielają mu z jednej strony milczącej sankcji, z drugiej obawiają się jego skutków.

Koźmian jest naprzód agentem *białych*, później rządu narodowego w Paryżu; informuje o wypadkach i czyni zabiegi w Hotelu Lambert, u gabinetu francuskiego, u ministrów cesarskich. Powstanie styczniowe zaskoczyło wprawdzie Napoleona i jego doradców, byli więc zrazu mu niechętni, ale więcej zaskoczyła ich jeszcze słynna konwencja Alvenslebena, która zwracała przeciwko Napoleonowi Rosję i Prusy, co spowodowało cesarza do podjęcia nareszcie interwencji dyplomatycznej mocarstw zachodnich w sprawie Polski, która byłaby niechybnie doprowadziła do interwencji zbrojnej, gdyby rząd angielski nie był opuścił Napoleona i sprawy Polski, będącej sprawą Europy, moralności i sprawiedliwości międzynarodowej.

Koźmian jest świadkiem i uczestnikiem tych pamiętnych i tragicznych zdarzeń, przechodzi wszystkie obawy i nadzieje, słyszy z ust ministrów cesarskich: Walewskiego, Mocqart'a i Drouhin de Luys'a: „Durez“, dopóki bohaterskie ale szalone przedsięwzięcie nie zapadło się w gruzy, dopóki krew męczenników nie zalała pożaru.

I oto jesteśmy u źródła psychologji politycznej, u źródła późniejszego programu narodowego tak Koźmiana, jak i całej grupy pisarzów i statystów krakowskich zwanych stańczykami, śród których on jako polityk czynny, jako doradca namiestników i ministrów w Krakowie, Lwowie i Wiedniu zajmował wybitne miejsce, przez długie lata walczył o poj-

„Fakty powyższe przez Faleńskiego podane są niestety faktami. W archiwach warszawskich, w aktach tajnych przez Rosjan pozostawionych, nie brak odnośnych dowodów. Zostaną one zużytkowane przezemnie w specjalnem opracowaniu. Uwagę tę notuję tu z obowiązku, pełną na siebie przyjmując odpowiedzialność za to niejako potwierdzenie notat Faleńskiego".

Od czasu ogłoszenia powyższej zapowiedzi upłynęło kilka miesięcy, lecz, po dziś dzień, pomimo nawoływań prasy (*Rzeczypospolita*, *Tydzień Polski*, Wł. Rabski w *Kurjerze Warszawskim*, Kazimierz Bartoszewicz w *Nowej Reformie* etc.) o przedstawienie *„odnośnych dowodów"* subwencjonowania Deotymy przez b. rząd rosyjski — „trudno wiedzieć za co", autor biografji Faleńskiego zapowiedzi swej w tej mierze nie spełnił.

Zanim wszakże przyjęte przezeń wobec ogółu zobowiązanie spełnione zostąnie, piszący, jako jeden z nielicznych już świadków i uczestników zebrań u Deotymy, zestosunkowany węzłami dozgonnej przyjaźni zarówno z Deotymą, jako też i z Felicjanem Faleńskim (o czem bliżej w artykule ogłoszonym przez piszącego w książce pod tyt. *Echa przeszłości*. Warszawa r. 1917 str. 431 i nast.), uznał za konieczne dowiedzieć się w archiwum tajnem papierów b. rządu rosyjskiego, przechowywanych w gmachu Nr. 1 przy ulicy Jezuickiej, czyli i jakie istnieją dowody subwencjonowania Deotymy przez b. władze rosyjskie?

Naczelnik archiwum, profesor Janusz Iwaszkiewicz, oświadczył mi, że tych dowodów poszukiwał p. Przecławski, lecz okazało się, że między osobami figurującemi na liście subwencjonowanych—śladu żadnego o jakiejbądź pensji dożywotnie, wyznaczonej jakoby Jadwidze Łuszczewskiej (Deotymie), nie było i niema.

Z uwagi, że archiwum przy ulicy Jezuickiej jest jedynem miejscem, dokąd przeniesiono tajne papiery b. namiestnictwa, resp. generał-gubernatorstwa warszawskiego, ongi przechowywane w b. pałacu Namiestników, zachodzi pytanie, „w jakich to archiwach warszawskich, w aktach tajnych przez Rosjan pozostawionych — jak pisze p. Przecławski — znajdują się „odnośne dowody", stwierdzające zarzuty Felicjana.

Można z góry zapewnić, że owych rzekomych „odnośnych dowodów" nigdzie się nie odnajdzie, chyba że fakt stwierdzony przez Kazimierza Bartoszewicza w artykule: „Łaska carska w sprawie Deotymy", ogłoszonym w *„Rzeczypospolitej"* (Nr. 143 z roku bieżącego 1922) o ogłoszonej swego czasu w „Dzienniku warszawskim" emeryturze, przyznanej córce ś. p. Wacława Łuszczewskiego, uważać się będzie za dowód inkryminujący pamięć poetki.

„Felicjan — pisze Bartoszewicz — zanotował tylko to, co nie było dla nikogo tajemnicą. Pensja 1500 rubli jeszcze mniejszem jest „odkryciem". Car Alexander II „najmiłościwiej" wyznaczył tę roczną dotację poetce i „łaskę" swoją kazał publicznie ogłosić. Podał tę wiadomość zaraz „Dziennik warszawski" a za nim powtórzyły ją, powiedzmy ściślej, powtórzyć musiały wszystkie warszawskie pisma codzienne. Prawdopodobnie przeszła ona i do pism galicyjskich i poznańskich".

„Nie dziwię się p. Przecławskiemu, — pisze dalej Bartoszewicz — że dla niego było to nowiną, ale dziwię się ludziom żyjącym z tych czasów, że nie zwrócili dotychczas uwagi na wybijanie przez p. Przecławskiego drzwi otwartych. Czyżby tak krótką posiadali pamięć?

---

mowanie sprawy w „Czasie" i „Przeglądzie Polskim".

Swoją formułę polityczną ogłosili stańczycy w r. 1866, w chwili, gdy Austrja, wyrzucona po Sadowie przez Prusy ze związku niemieckiego, szukała nowej podstawy do wielkomocarstwowej egzystencji w udzieleniu swobód i samorządu krajom koronnym, według słów cesarza Franciszka Józefa: „Pragnę zgody ludów moich".

Formuła ta była mniej więcej następująca: droga spisków, powstań i rozsiewania kości polskich po wszystkich częściach świata była zgubną i prowadziła do bezcelowego wycieńczenia sił, do podkopania bytu narodowego, który po utracie samodzielności politycznej musimy ocalić. Wszelkie próby międzynarodowego rozstrzygnięcia sprawy polskiej okrutnie zawiodły i doprowadziły nas na skraj przepaści. Obrać więc trzeba drogę przeciwną, uznać, że kwestja polska jest na razie wewnętrzną sprawą każdego z trzech państw rozbiorowych i dążyć do pogodzenia naszego istnienia narodowego z interesami danego państwa. Dla przekonania go, że zerwaliśmy z błędną przeszłością, że już zbrojną ręką dobijać się nie będziemy niepodległości — zmienić trzeba do gruntu edukację polityczną narodu, wychowywać młode pokolenia w poszanowaniu ustaw każdego z trzech państw, czyli uznać trójlojalizm ze pojęcie przewodne i t. d.

Tak radykalny zwrot w aspiracjach politycznych narodu wywołał zaciekłą, czterdzieści lat z górą trwającą polemikę ze stańczykami. Nie ulega wątpliwości, że tezy swoje sformułowali oni, ze względów oportunistycznych, zbyt twardo i obraźliwie dla uczuć narodowych, ale nie ulega także wątpliwości, że nie wyrzekli się nigdy przyszłości, dążyli tylko do niej według innej metody rozumowania i działania.

Teza konserwatystów krakowskich była obliczona zresztą nie tyle na Galicję, w której germanizację złamał już przed tem doszczętnie namiestnik Agenor Gołuchowski, patent zaś cesarski udzielił jej niebawem praw i instytucji narodowych, teza ta ściągała się raczej do dwóch pozostałych zaborów, nadewszystko rosyjskiego, gdzie — jak łudzono się — zdoła pohamować i odwrócić wściekłą i brutalną rusyfikację, która zrywała wszelkie tamy i dążyła z całą konsekwencją do naszej zagłady, pastwiła się nad naszem istnieniem. Wszelkie też próby polityki ugodowej w Warszawie i Petersburgu, wielokrotnie powtarzane a zawsze chybione,

Więc czegóż dowiedzie p. Przecławski? Tego, co było powszechnie wiadome i ogłoszone. — Chyba że w archiwach znajdują się dowody jakichś specjalnych „zasług“ dla rządu Deotymy. Ale p. Przecławski o tem nie wspomina, on jedynie obiecuje potwierdzić notaty Felicjana. Można też mieć pewność, że podobnych „zasług“ nie było“.

Pozostawiając na razie na stronie ocenę właściwości lub niewłaściwości dopisku p. Przecławskiego do tekstu pamiętnika Faleńskiego, zaznaczyć należy, że jeżeli komu, to nigdy Faleńskiemu nie należało owej sprawy wyprowadzać na widownię i wysnuwać z niej wnioski zohydzające pamięć poetki.

Z natury wspomnień czysto osobistych pamiętnikarza i charakterystyk rożnych osobistości, z któremi się spotykał, z tonu chmurnego i zgryźliwego, jaki przenika wszystkie niemal uwagi nad rolą owych dziś już nieżyjących, a zatem bronić się niemogących osobistości w społeczeństwie, wynika, że Faleński nie przewidywał nawet, że jego inwektywy będą kiedyś ogłoszone publicznie...

„Dla kogo ja je piszę? — pyta Faleński na wstępie do swoich wspomnień, bo przecie ani dzieci nie mam, dla którychby one drogą mogły być spuścizną, ani nawet w rodzinie mojej nikogo tak dalece tej po mnie pamiątki wyczekującego — powtóre zaś: jeśli nie dla moich najbliższych, tylko dla obcych, to znowu: czyż to jestem taką znakomitością, żeby aż warto było potomność w szczegóły mojego życia wtajemniczać? Na jedno, jak na drugie odpowiedź nie trudna. Piszę je z serca potrzeby, w części jako obrachunek sumienia, w części jako silva rerum... może ich nie dokończę, może dokończywszy spalę, lub o ich spalenie poproszę, *bo je dla siebie tylko odtwarzam i dla mojej ukochanej towarzyszki, jeśliby mnie przeżyła...“*

Towarzyszka życia Faleńskiego, Marja z Trębickich, nie przeżyła swego męża, wspomnienia zatem pisane były wyłącznie „dla potrzeby serca“ samego pamiętnikarza. Czy zgodnie z intencją Faleńskiego, biograf jego p. Przecławski uznał za właściwe do swego, skądinąd poważnego, studjum literackiego, włączyć te ustępy pamiętnika Felicjana, które obniżają już nie twórczość wzmiankowanych w nich osobistości, lecz ich godność obywatelską, niwecząc doszczętnie tradycję, jaką po sobie pozostawiły w społeczeństwie? to już sprawa poglądów i przekonań czysto osobistych p. Przecławskiego, z której przed forum własnego sumienia winien zdać rachunek.

C. d. n. **Alexander Kraushar.**

ZEBRANIE KOŁA WARSZAWSKIEGO UNJI N. P.

W czwartek dnia 3 b. m. w wielkiej sali Klubu Artystycznego, odbyło się pod przewodnictwem p. L. Tołłoczki zebranie Koła Warszawskiego Unji N. P. — Referat na temat: „Wykonanie Traktatu Ryskiego“ wygłosił p. Stefan Starzyński, sekretarz generalny Komisji Reewakuacyjnej i Specjalnej. St. Starzyński opowiedział o pracach naszej delegacji w Rosji i o niesłychanych szykanach, których dopuszczają się Sowiety, przy zwracaniu zagrabionego nam mienia.

Na zakończenie poseł T. Filipowicz zakomunikował zebranym o rezultacie głosowania w Sejmie nad votum zaufania dla gabinetu prof. Nowaka. Rezultat zebrani przyjęli gorącemi oklaskami.

---

szukały oparcia we wzorach pod Wawelem, w mistrzach szkoły krakowskiej. Nie było zresztą winą mistrzów, że ich uczniowie tutejsi przewyższali swoje wzory w gorliwości, że dążąc do wytworzenia analogji między położeniem polaków w Imperjum rosyjskiem a monarchji naddunajskiej, co było zgubną fikcją, licytowali się w oświadczeniach i manifestacjach lojalności, nieraz przykrych.

O tem już jednak rozprawiać nie możemy.

Musimy ograniczyć się do podanego rodowodu politycznego partji krakowskiej, która przez całe półwiecze kierowała bezpośrednio lub moralnie krokami i pojęciami naszych warstw zachowawczych nie tylko w Krakowie, Lwowie i Wiedniu, ale jeszcze w Warszawie i Petersburgu, Poznaniu i Wilnie.

Obecnie umarł ostatni z założycieli tej partji i zarazem szkoły politycznej, która — bądźmy sprawiedliwi — wydała szereg znakomitych talentów, głów i charakterów i była zapewne najświetniejszą grupą umysłów, jaką posiadaliśmy po roku 1863. Obcowanie umysłowe z Tarnowskim i Szujskim, Kalinką, Klaczką i najmłodszym z nich a żyjącym Bobrzyńskim przynosi nam bardzo wiele pożytku, daje trafną, prawdziwie europejską miarę ludzi i rzeczy; dzieła ich wraz z obrazami Matejki, który był także owocem tej atmosfery, są zbiornikami wiekowych tradycji ducha polskiego, świadectwem wysiłków w celu odwrócenia fatalnych następstw porozbiorowej tragedji.

I z nimi i z Koźmianem trzeba było niejednokrotnie walczyć i ostre prowadzić spory. Dziś znów uznać trzeba ich zasługi, wiedzę, talenty i polor umysłowy, wiele z wyobrażeń politycznych i historycznych, które powinny stać się nabytkiem wszystkich.

Koźmiana zaś, o którego w tej chwili szczególnie chodzi, umieścić musimy w galerji naszych wielkich pisarzy politycznych. Pomimo usterek, należy mu się ze względu na skalę umysłu i talentu miejsce śród Ostrorogów, Modrzewskich, Staszyców, Kołłątajów, Mochnackich. Umysły wyższe nawet wtedy, gdy błędnej dowodzą tezy, rzucają ubocznie tyle światła na rzecz, na ludzi i epokę, że w perspektywie czasu okupują pomyłki lub złudzenia. Pod tym względem Koźmian dzieli losy Włodzimierza Spasowicza.

Bolesław Lutomski.

NA MARGINESIE.

Świat zaczyna się nareszcie leczyć z powojennego idealizmu. Myli się bowiem, kto sądzi, że w tych latach rozwielmożnionego bandytyzmu i paskarstwa wyobraźnie ludzkie tak swój lot obniżyły, iż dziś chodzą już tylko po ziemi i to nawet na czworakach. Marzycielstwo jest tak rdzenną cechą natury ludzkiej, że nic nie zdoła go wykorzenić: zmienia się tylko kierunek marzeń i treść ideałów. Przed wojną do nieziszczalnych utopji zaliczano wolność ujarzmionych narodów, zrównanie klas, całkowite równouprawnienie płci i t. p. ideały, które dziś stały się rzeczywistością i to tak szarą, że ludzie zapominają się nią zachwycać i cieszyć. Natomiast fantazja goni inne mary: takie np. jak odszkodowania za straty wojenne, zwrot długów, regulowanie rachunków i normalna wymiana towarów. Przed ośmiu laty wydawało się przecież rzeczą najprostszą w świecie, że kto winien, ten płaci, komu winni, ten żąda. Już w 1915 roku wielu ludzi w Królestwie Polskiem sądziło, że najrealniejszem i najpilniejszem zagadnieniem była „regestracja strat wojennych“. Ten i ów spisywał skrzętnie i drobiazgowo wszystko, co zostało spalone, stratowane, zarekwirowane, wywiezione, sumował cyfry i dochodził do tak pokaźnych kwot, że czuł się bardzo zamożnym człowiekiem, choć chwilowo, skutkiem wywiezienia pożywniejszych wiktuałów do Niemiec, jadł „peluszkę“ i popijał kawą żywnościową, słodząc ją sacharyną. Absolutna pewność, że to wszystko musi być i będzie zapłacone, była powszechna. Mogły istnieć wątpliwości, czy Rosja wojnę wygra, czy przegra, ale nikt nie wątpił, że zapłaci wszystko, co do grosza, np. wszystkie emerytury zaległe i to wraz z procentami. Po prostu, umysły ludzkie tak się zżyły z pewnemi od dawna ustalonemi porządkami, że nawet, gdy umiały już objąć wielkie niespodzianki wojny, nie były w stanie oswoić się z małemi; rozumiały np., że może jednego dnia zginąć 30000 ludzi, lecz nie to, że mogą zniknąć z kraju wszystkie srebrne i złote ruble, — lub że komunikacja między Warszawą i Krakowem może być przerwana na dłużej niż kilka dni. „Most zniszczyli? to i cóż? za parę dni naprawią. Przecież bez mostu być nie może“ — zapewniano mnie w pierwszych dniach sierpnia 1914 r., gdy doszła wieść, że Rosjanie zerwali most w Granicy.

Dawno już minęła wojna, jej katastrofy, klęski i hekatomby, a przedwojenne nawyknienia trzymają się mózgów i wytwarzają takie sny na jawie, jakie niegdyś rodziła marzycielska fantazja. Ulegają im nietylko naiwne stare emerytki, lecz poważni dyplomaci. W pogoni za temi niepochwytnemi marami stracili blisko cztery lata, rojąc o miljonach i miljardach, które skarb ich państwa posiada w ściśle obliczonych i starannie zarejestrowanych należytościach. Francja ma bardzo wiele w Rosji, Anglja nietylko w Rosji, ale i we Francji, Włoszech, Belgji; wszyscy mają sporo w Niemczech, a Stany Zjednoczone u wszystkich. Bogactwa są, tylko jak po nie sięgnąć?

Na rachunek tych kapitałów zaciągano nowe długi i czyniono wydatki, bo przecież to się wróci, musi się wrócić. Ten temu, tamten tamtemu odda i każdy swoje odzyska. Wszystko opierało się na tem złudnem mniemaniu, że bogactwo wychodząc z jednych rąk, przechodzi w inne, ale nie ginie i w każdym razie gdzieś jest.

W końcu po długich mozołach, zjazdach, konferencjach, naradach—trzeba było dojść do smutnego wniosku, że go nigdzie niema i nie warto go szukać.

Wszystkie te olbrzymie sumy, w których wyrażały się pretensje wzajemne, to były owe „idealniki“ i „mizeraki“, jak w swoim czasie nazwał Lam walutę austryjacką. Im więcej tego jest, tem to jest mniej warte.

Dawniej pieniądz reprezentował zupełnie realne, materjalne wartości. Dziś stał się ich symbolem, reprezentuje tylko tęsknotę za materjalnemi wartościami. Słowem, uduchowił się ponad wszelkie przewidywania.

Nareszcie lord Balfour powiedział mądre, trzeźwe słowo, dla wyleczenia swych kolegów z ich polityczno-finansowego somnambulizmu. „Zróbmy, ot, taki rachunek: My darujemy naszym dłużnikom, oni swoim; nam nasi wierzyciele. Mamy tyle fikcyjnych skarbów, że możemy je oddać wzamian za znacznie mniejsze sumy naszych długów i zdaje się, że nawet, w gruncie rzeczy, nic na tem nie stracimy“. „Ale co na tem zyskamy?“ „To, że przestaniemy mówić o rzeczach, których niema, a przejdziemy do obliczania tego, co jest“.

Wygląda to bardzo po chrześcijańsku a jest bardzo po kupiecku; świadczy zarazem, że niema jak cnoty chrześcijańskie, gdy chodzi o regulowanie zawiłych rachunków. Znowu jedna z wielkich prawd — bardzo prostych — które odkryła wojna. Ongi powiedział Bismarck, że „światem nie rządzi Ojcze nasz“ — ale to zaliczyć trzeba do pomyłek, któremi on swą ojczyznę poprowadził na manowce. Gdy świat zacznie wprowadzać w życie słowa pacierza: „Dimite nos debita nostra, sicut et nos dimitimus debitoribus nostris“, stanie się to wielkiem ułatwieniem życia i uproszczeniem kalkulacji.

Mniej więcej te same anachronizmy umysłowe i wynikające z nich błędy komplikują również i życie społeczne i politykę wewnętrzną. Kto ma mało, komu codzienna praca nie starczy na codzienne potrzeby, sądzi, że przyczyna zła leży w tem, iż ktoś inny ma zadużo. Wszystkiego jest dostatek, cała rzecz, by każdy dostał, co mu się należy. Domagając się swego, każdy w swoim zakresie realizuje sprawiedliwość społeczną. A więc chodzi tylko o odpowiedni nacisk: represje, sankcje, teror... i t. p.

Tak np. robotnicy rolni w Poznańskiem żądają od producentów, by swe nadmierne zyski rozdzielili między nich. Przeto strajkują, zboże wysiewa się z kłosów lub na pokosach porasta, skutkiem czego nikt tam nie będzie miał ani miernych, ani nadmiernych zysków, a straty rozciągną się na wszystkich, na burżujów i na proletarjat, znowu w nierównej skali. Protestując przeciw drożyźnie, bezrobocie potęguje drożyznę. Oto niezbita prawda, której nikt uznać nie chce, bo tak słodko kołysać się marzeniem, że sam *nacisk* bezczynnych rąk starczy, by przejść z nędzy do pieniędzy.

Strajki są tem w stosunkach wewnętrznych, czem wojna w międzynarodowych. Nikt nigdy nie zbogaci się przez zniszczenie; niszcząc drugich, niszczy pośrednio i siebie. Można mówić o równo-

miernym podziale bogactw, gdy bogactwo jest, gdy się je wytwarza, gdy ono rośnie. Zniszczona Rosja zubożyła Europę; zniszczenie wojenne Francji ciąży na kieszeniach i sumieniach Niemiec, ale nietylko Niemiec. Wprawdzie w wyniku wojny zjawiła się nauczka, że wygodniej jest przegrać wojnę cudzym kosztem (jak Niemcy), niż wygrać własnym (jak Francja), w dalszym ciągu jednak okazuje się — że chcąc nie chcąc — rzeczywiste rachunki płacić muszą wszyscy — ogólnem zubożeniem, które mści się nawet na tych, co się dorobili, na krajach „przezłoconych", i na tych, co się uginają pod lawiną bezwartościowego papieru.

Za strajk, za niszczenie warsztatów produkcji rolnej czy fabrycznej — zapłacą również wszyscy. Rachunek wróci niechybnie do tych, co go dziś wystawiają. Brak zboża spowoduje drożyznę chleba, podniesie cenę koszuli, a zarobek stanie się wyrazem daremnej tęsknoty za świeżą bielizną.

Reflektor.

TOWARZYSTWO MISYJNE.

W pierwszym roku działalności prace Towarzystwa Misyjnego już posunęły się znacznie naprzód. We wszystkich niemal djecezjach Polski powołano Rady djecezjalne i zorganizowano szereg szkół parafialnych; ostatnio nadeszły wiadomości o rozszerzaniu działalności Towarzystwa na djecezje Nowego Yorku w Ameryce. Komitet organizacyjny tegoż Towarzystwa utworzył w łonie swem sekcję wydawniczo-prasową w celu informowania opinji publicznej o działalności Towarzystwa i jego zadaniach. Biuro Komitetu organizacyjnego mieści się w Kancelarji Prymasowskiej w Warszawie (Mokotowska 14 m. 77).

Książki nadesłane do redakcji.

Wydawnictwa księgarni Perzyński, Niklewicz i Spółka.

Zdzisław Oplustill: Polskie formacje wschodnie 1918 — 1919, str. 252. Warszawa 1922.

Filochowski: Znak. Powieść str. 216, 1922.

Ignacy Oksza - Grabowski: Przysięga trzech. Romans dziejowy. str. 252. Warszawa 1922.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.
Prenumerata „Tygodnia Polskiego" wynosi **kwartalnie 1200 mk., miesięcznie 400 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **100 mk.**
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniową dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch", Kraków, ul. Szczepańska 9.
„ „ Poznańskie i Pomorze „Ruch", Poznań, ul. Pawła 1.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE" Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. sukc. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.